

[noty, recenzje, przeglądy]

Bruno Schulz w Buenos Aires Z Henrykiem Mittelstaedtem rozmawia Agnieszka Hudzik

W opowiadaniu *Wiosna* narrator ogląda w klaserze zwanym markownikiem znaczki pocztowe z dalekich krajów. Wylicza między innymi Kolumbię, Kostarykę, Wenezuelę, Meksyk, Ekwador, Gujanę, Gwatemalę, Kubę, Haiti, Jamajkę czy Sierra Leone. Są to w większości kraje Ameryki Środkowej i Południowej, były kolonie, odległe od Drohobycza geograficznie i kulturowo. Sama myśl o tych miejscach, o ich wyjątkowych aromatach i jaskrawych kolorach wprawia narratorkę w stan ekstazy. W ich przesadnym opisie należy upatrywać nie tylko zabiegów stylistycznych mających służyć artystycznemu oddaniu inności lub egzotyce obcego. Wymienione kraje stają się także symbolem wielowymiarowych zjawisk kulturowych, antropologicznych i politycznych. Mają być ilustracją nowoczesnych przewartościowań, jakie dokonały się zarówno w zakresie ludzkich zdolności percepcyjnych – dowartościowania sfery zmysłów kosztem dotychczasowej dominacji intelektu, rozproszenia substancjalnego podmiotu – jak i w domenie geografii kulturowo-politycznej: upadku obowiązującego dotąd w świecie porządku opartego na podziale na centrum i peryferia, imperia i prowincje.

Ten wywrotowy, antykolonialny potencjał prozy Schulza jest być może jednym z powodów wzmożonego zainteresowania nią w ostatnich latach na półkuli południowej. Ameryka Łacińska na nowo odkrywa Schulza. Po publikacji w Brazylii przekładu autorstwa Henryka Siewierskiego (Bruno Schulz, *Ficção completa*, Cosac Naify, São Paulo 2012), kilka miesięcy temu w Argentynie został wydany tom opowiadań *Sklepy cynamonowe* w tłumaczeniu Henryka Mittelstaedta.

Z argentyńskim tłumaczem rozmawiałam w Buenos Aires na początku kwietnia 2016 roku. Na wywiad przychodzić spóźniona, w centrum miasta zatrzymało mnie oberwanie chmury, strugi deszczu zwiastują rozpoczynającą się tu powoli jesień. Spotykamy się w Bibliotece Polskiej, która mieści się w Domu Polskim (Casa Polaca) przy ulicy Borgesa w dzielnicy Palermo, między ogrodem botanicznym z wysokimi palmami a gwarnym placem Cortázara. Rozmowa toczy się przy herbacie i tradycyjnych *aflajores*.

Agnieszka Hudzik: *Skąd wziął się pomysł na wydanie opowiadań Schulza w Argentynie?*

Henryk Mittelstaedt: Jeśli chodzi o pomysł na tłumaczenie, to nie była to moja inicjatywa, chociaż żałuję, że nie mogę się nią pochwalić. To nie ja znalazłem Schulza, tylko Schulz znalazł mnie. A stało się to przypadkiem. Poznałem młodą dziewczynę, Argentyнкę, która zakochała się w polskiej literaturze. Nazywa się Gabriela de Mola i z wykształcenia jest wydawcą. Powiedziała mi, że jej marzeniem jest wydanie dzieł Schulza. Czytała je po angielsku i po hiszpańsku, ale przekłady nie przypadły jej do gustu. Argentyńscy w ogóle raczej niechętnie czytają w języku hiszpańskim z Półwyspu Iberyjskiego, który znacznie różni się od swoich wersji południowoamerykańskich. Każdy hiszpańskojęzyczny kraj Ameryki Południowej ma swoje różnice językowe, swój specyficzny dialekt. Oczywiście ludzie z Buenos Aires, Bogoty i Madrytu są w stanie się porozumieć, ale od razu rozpoznają, kto skąd pochodzi. Poza tym bywa tak, że te same słowa mają w różnych krajach inny sens, co nie jest bez znaczenia zwłaszcza w przypadku tekstów literackich. Español-Argentino czy, jak wolą niektórzy, dialekt rioplatense jest pod wieloma względami wyjątkowy, formowały go pokolenia emigrantów z całego świata, przez co ma dużo naleciałości na przykład z języka włoskiego. Istnieje wiele przekładów twórczości Schulza na hiszpański, w większości wydanych w Europie – między innymi dzięki pracy tłumaczek i tłumaczy takich jak Salvador Puig, Juan Carlos Vidal, Elżbieta Bartkiewicz, Jorge Segovia czy Violetta Beck. Co ciekawe, *Sklepy cynamonowe* ukazały się także w Meksyku – przełożył je Sergio Pitol. Również w Argentynie z Schulzowskimi tekstami zmagał się już Ernesto Gohre. Jego przekład zatytułowany *La calle de los cocodrilos* z lat siedemdziesiątych to jednak tylko wybór opowiadań.

Jak wyglądała droga od pomysłu na wydanie nowego przekładu do realizacji tego przedsięwzięcia?

Zafascynowana Schulzem Gabriela de Mola, proponując mi tłumaczenie, obiecała, że jeśli tylko zgodzę się na współpracę z nią, ona zajmie się wszystkimi sprawami wydawniczymi. Postawiła sprawę jasno i ostrzegła mnie, że pro-

pozycja jest ryzykowna: wydawnictwa jeszcze formalnie nie ma, a Schulzowski tekst jest bardzo wymagający... Powiedziałem, że się zastanowię, by tuż po chwili odrzec, że z wielką ochotą podejmuję wyzwanie. Mój przekład *Sklepów cynamonowych* pod tytułem *Las tiendas de color canela* ukazał się w grudniu 2015 roku jako pierwsza publikacja nowo założonego przez Gabrielę wydawnictwa o polskiej nazwie „Dobra Robota”. Projekt został wsparty przez Instytut Książki oraz Ambasadę Polską w Buenos Aires. Nakład wyniósł 1000 egzemplarzy. Wydawnictwo ma w planach kolejne publikacje: będzie to sztuka teatralna Witkacego *Oni* oraz drugi tom opowiadań Schulza, *Sanatorium pod Klepsydrą*, nad którym obecnie pracuję i który chcemy wydać przed końcem roku.

Czy odbyła się promocja książki?

Choć książka ukazała się w grudniu, z jej prezentacją poczekaliśmy do końca marca. Styczeń i luty to tutaj czas wakacji i sezon ogórkowy. Rozmowa wokół książki odbyła się w ramach cyklu comiesięcznych spotkań „Porozmawiajmy o kulturze”, organizowanych przez Bibliotekę Polską (Biblioteca Polaca Ignacio Domeyko). Na spotkanie zaprosiliśmy naszego przyjaciela i współpracownika Biblioteki Miguela Grinberga, który jest chyba jednym z ostatnich żyjących przyjaciół Gombrowicza. W rozmowie o Schulzu wskrzesiliśmy pojęcie „trzech muszkieterów” oraz wspominaliśmy o korespondencji między Schulzem a Gombrowiczem. Opowiadałem także o swoich trudnościach, które napotkałem w trakcie pracy nad tłumaczeniem.

Co w tekście Schulza było dla pana szczególnym wyzwaniem językowym?

Oczywiście długo mógłbym tu się rozwodzić nad odwiecznym konfliktem tłumacza między wiernością przekładu wobec oryginału a pięknem języka. Wyzwaniem jest znalezienie złotego środka. Dawno już musiałem pogodzić się z faktem, że tłumaczenie idealne nie istnieje. Czasami na przykład jakieś przymiotniki w języku hiszpańskim nie wypadają tak efektownie jak po polsku, ale staram się, żeby jak najładniej brzmiały i nie odbiegały od oryginału. Poza tym trudności nastroczały mi przedrostki w polszczyźnie, których Schulz często używa i których hiszpański w takiej różnorodności nie posiada. Ale, jak mawiał Gombrowicz, pisarz nie jest na służbie języka, tylko posługuje się nim i używa go do własnych celów, więc ja także zacząłem tworzyć nowe słowa – tak jak tworzyli je Gombrowicz i Schulz. Na szczęście mogłem oddać się twórczej pracy nad neologizmami, bo nie spieszyło mi się z tłumaczeniem i wydawnictwo nie narzuciło mi terminów. Ostatnio na przykład, zajmując się już drugim tomem tekstów Schulza, długo głowiłem się nad czasownikiem „opilśniać się”. W opowiadaniu *Księga* narrator czyta na świstkach papieru gazetowego artykuł o Annie Csillag, której tajemniczy środek na porost włosów sprawia, że jej bracia i kuzy-

ni „opilśniali się” tęgim futrem zarostu. Tu znowu musiałem stworzyć nowe słowo, modyfikując hiszpański rzeczownik *fieltro* (filc).

A jak przebiega praca nad tłumaczeniem Sanatorium pod Klepsydrą?

Myszę, że po przekładzie *Sklepów cynamonowych* złapałem melodię i rytm Schulzowskiej prozy. Stałem się poniekąd *alter ego* Schulza. Ciekawe są dla mnie liczne wyrazy obce, których Schulz z istic barokową manierą używa i które prawie w dziewięćdziesięciu procentach pochodzą z łaciny. Hiszpański jako język romański wywodzi się z niej, dlatego to, co brzmi obco w oryginale, w przekładzie wypada całkiem naturalnie. Jak zresztą zauważyłem, ten efekt obcości w najnowszych wydaniach Schulza po polsku próbuje się zatrzeć. Wydawcy decydują się na dodawanie przypisów, co mi osobiście nie bardzo się podoba. Oczywiście, rozumiem stojące za tym intencje wyjaśniania i ułatwiania odbioru zwłaszcza młodym pokoleniom czytelników, ale tekst okraszony na każdej stronie odsyłaczami traci swoją potoczystość i literackość. Dlatego zdecydowałem, że w swoim tłumaczeniu programowo nie używam przypisów. Poza tym muszę przyznać, że język Schulza mi odpowiada, i mam tu na myśli nie tylko jego wymiar artystyczny. Z racji wieku i życia na innym kontynencie moja polszczyzna może się wydawać nieco anachroniczna, bliższa tej z czasów pisarza. Kilka lat temu na przykład, gdy byłem w odwiedzinach w Polsce, w rozmowie ze znajomym mówiłem coś o zakupach i przypadkiem wspomniałem o „subiekcie” w sklepie. Na to on wybuchł śmiechem i zapytał, czy właśnie skończyłem czytać *Lalkę* Prusa. Dopiero on uświadomił mi, że ten rzeczownik jest dziś rzadko używany – „subiekta” zastąpił „sprzedawca”. Dla mnie subiekt sklepowy, tak często pojawiający się na kartach opowiadań Schulza, to zwykłe, codzienne słowo, nie żaden archaizm.

W jakich kontekstach twórczość Schulza będzie odczytywana w Argentynie?

Przekład *Sklepów cynamonowych* wydany jest z myślą o czytelnikach nieznających literatury polskiej. Opowiadania poprzedza krótki tekst o najważniejszych wydarzeniach z życia Schulza, pomaga umiejscowić autora na tle wydarzeń historycznych i pokrótce przedstawia jego dorobek twórczy. Potem następuje zwięzły esej *Bankructwo realności*, prezentujący kluczowe słowa i motywy związane z Schulzowską poetyką, takie jak dzieciństwo, mitologia, transformacja i fermentacja materii czy „regiony wielkiej herezji”. Wprowadzenie zamyka komentarz tłumacza, w którym między innymi w kontekście problemów translatorskich literatury awangardowej przywołuję *Ferdydurke* Gombrowicza. Jego nazwisko pojawia się zresztą także na okładce książki – fragment z *Dziennika* występuje tu w roli notki wydawniczej, reklamującej opowiadania. Tuż nad nią widnieje J. M. Coetzee i cytat ze zbioru esejów *Wewnętrzne mechanizmy*, dotyczący Schulza.

Warto tu dodać, że jego opinia będzie odczytywana jako najlepsza rekomendacja i gwarancja jakości. Noblista ten jest bowiem w Argentynie bardzo ceniony, w ostatnim czasie gościł, jako profesor honorowy, na jednym z największych tutejszych uniwersytetów, w Katedrze Literatur Południa, zajmującej się pisarstwem z terenów Ameryki Łacińskiej, Australii i RPA. Trzeba też podkreślić, że Schulz w Argentynie zawsze będzie odczytywany przez pryzmat dobrze tu znanego Gombrowicza, jako odbicie jego ducha. Argentynicy uważają go nawet za swojego pisarza i są zdziwieni, gdy im się mówi, że on przecież pisał po polsku. Podczas Targów Książki w Buenos Aires Biblioteka Polska często organizuje stoisko i czytelnicy najczęściej dopytują o Gombrowicza, bo starsze nakłady jego tłumaczeń są w większości wyczerpane. Z polskiej literatury argentyńska opinia publiczna kojarzy o dziwo powieść *Quo vadis*, choć może bardziej łączy ją z amerykańską ekranizacją niż z nazwiskiem Sienkiewicza. Czytane są także reportaże Kapuścińskiego i poezja Szymborskiej. Myślę, że dla tutejszej recepcji Schulza istotny będzie kontekst europejskiej awangardy i surrealizmu. Podczas spotkania promocyjnego publiczności bardzo spodobały się wątki oniryczne, a szczególnie tytułowe opowiadanie *Sklepy cynamonowe* oraz historia konia, który jak we śnie zamienia się w małego drewnianego konika. Nie wiem, czy proza Schulza będzie łączona i porównywana z twórczością tutejszych pisarzy. Tłumacząc, nie szukałem inspiracji w argentyńskiej literaturze awangardowej, nie chciałem zestawiać go z innymi autorami i prezentować z naleciałościami innych stylów i innych czasów. Poza tym dla Schulza nie sposób znaleźć literackich odpowiedników...

Czy motyw Galicji, Austro-Węgier i wymieszania kultur polskiej, ukraińskiej, niemieckiej i żydowskiej jest czytelny w Argentynie, multietnicznym kraju emigrantów?

Mam wrażenie, że właśnie ten aspekt czyni Schulza w Argentynie jeszcze bardziej atrakcyjnym – i to nie tylko dla pokoleń przybyszy z Europy Środkowej i Wschodniej, którzy zwłaszcza u progu XX wieku licznie tu emigrowali. Niemożność jednoznacznego przypisania do wzorców narodowych i życie na pograniczu wielu kultur jest w tym kraju czymś dobrze zrozumiałym i oczywistym. Sam czuję się częścią tej mieszanki kulturowej. Nazwisko mam skandynewskie, moi przodkowie przybyli do Polski z Północy wraz z Potopem Szwedzkim. Moja matka pochodziła z Podlasia, tam też się urodziłem. Ojciec zaś był z Kresów Wschodnich, jego bliscy ucierpieli na Wołyniu podczas wojennej zawieruchy, on natomiast zaciągnął się do armii Andersa i na długie lata słuch o nim zaginął. Po wojnie wylądował we Włoszech, odnalazł nas i tam ściągnął naszą rodzinę. Jako dziecko uciekliśmy z matką i siostrą w 1946 roku z Polski przez Czechy i Niemcy. Najpierw mieszkaliśmy jakiś czas we Włoszech, potem w Anglii. Kiedy miałem jedenaście lat, przybyliśmy do Argentyny, która stała się naszą nową ojczyzną, tu ukończyłem szkoły i uniwersytet.

Czy w pracy nad przekładem Schulza pomocne były panu wcześniejsze doświadczenia translatorskie?

Oczywiście. Z zawodu nie jestem tłumaczem, lecz inżynierem. Z zamiłowania fascynatem literatury polskiej. Sądzę jednak, że właśnie dzięki pracy zawodowej mogłem w sobie rozwinąć pewną wrażliwość językową. Jako inżynier dużo podróżowałem po Argentynie, kraju ogromnym i bardzo różnorodnym. Dobrze znam poszczególne regiony, mentalność ich mieszkańców, a także dialekty i gwary, jakimi się posługują. Wcześniej tłumaczyłem przede wszystkim artykuły naukowe i techniczne, co też – jak myślę – nie jest bez znaczenia. Schulz, żonglując językiem, często używa fachowego słownictwa z różnych dyscyplin, takich jak biologia, botanika, inżynieria, filozofia, historia, mitologia czy malarstwo. Na przykład w kwestii specjalistycznych słów z dziedziny architektury, z której Schulz – jej były student – często czerpał inspiracje, musiałem się czasami radzić mojej żony architektki. Poza tym przekładałem także polskie opery, stąd może wyczucie muzykalności Schulzowskiego języka. Jestem też autorem przekładu książki *Dzieci Holokaustu mówią...*, zbioru wspomnień i świadectw ludzi, którzy w dzieciństwie ocalili z Zagłady. Podczas tłumaczenia sztuki teatralnej *Farrago* Lidii Amejko zatrzymałem się na przysłowiu: „Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi”. Uratowało mnie prawie identyczne hiszpańskie przysłowie: „Człowiek proponuje, Bóg dysponuje”. Wspomnę jeszcze, że tłumaczyłem fragment książki *Wyżej niż kondory* Wiktora Ostrowskiego – reportażu o pierwszej polskiej wyprawie w Andy w 1934 roku, który do dziś traktowany jest przez andynistów jako źródło cennych wskazówek, jak organizować wyprawy wysokogórskie. W ogóle sam Ostrowski to postać niesamowita: w trakcie wojny służył z moim ojcem w wojsku, następnie losy znowu zawiodły go do Argentyny, z której jednak powrócił do ojczyzny. Ale to już jest, cytując Rudyarda Kiplinga, całkiem inna historia, choć sam się śmieję, że tytułowe kondory z Andów znowu odnalazłem w tekście Schulza o ptasim królestwie na poddaszu. Wygląda na to, że w Schulzowskiej wyobraźni Drohobycz i góry w Argentynie nie są od siebie aż tak oddalone.